



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

24

W tej chwili przechodziła przez salon pani Wanda, kierując się ku wyjściu w towarzystwie pana Borowieckiego.

— O! znów nowa para! — zaśmiała się pani radczyni, — naprawdę tu, jak w teatrze.

— Istotnie byłoby jak w teatrze, — powiedziała z oburzeniem pani Porecka, — gdyby nie było tak niemoralne. Osoba z naszego towarzystwa, mająca męża tak miłego, młodego, i tak się afiszuje!

— I w dodatku jest dumna z tego, — uśmiechnęła się pani Mniewska, — i chwali się ze swą zdobyczą.

— Takie postępowanie jest niegodne mężatki, — gorszyła się pani Porecka.

Ryta, która dotychczas milczała, odezwała się niespodzianie:

— Ja nie widzę nic złego w zachowaniu się pani Jerzyckiej, zna pana Borowieckiego dawniej, nic dziwnego, że jest z nim w przyjaźni.

— Czy i pana Jedlińskiego znała dawniej? — zaśmiała się drwiąco pani Porecka, — bo podobno flirty i z nim uprawiała. Pozwoli zresztą pani, że mam swoje poglądy na tę sprawę i przy nich zostanę... Chodźmy, Madziu! — wstała z kanapki, — dobranoc paniom! — i majestatycznie wyszła.

— Ty zawsze niepotrzebnie wyrwiesz się z czemś takim! — powiedziała gderliwie matka, — no, chodźmy spać!

XIII.

Jednego dnia pani Mniewska przyszła do obiadu rozjaśniona, a ile razy spojrzała w stronę pani Łotuskiej i Szarockiego, przewijał się na jej twarzy jakiś uśmiech zagadkowy. Widać było po niej, że jest w posiadaniu jakiejś tajemnicy i niecierpliwi się, iż nie może jej powiedzieć.

Zauważyła to pani Porecka i Madzia, obie też czekały z niecierpliwością końca obiadu, aby móżdż swobodnie pomówić.

Pani Łotuska z wielkim zajęciem rozmawiała ze swym sąsiadem, Szarockim, lecz przy końcu obiadu odczuła ciekawe i uprzykrzone spojrzenia, spoważniała, szepnęła coś sąsiadowi, który natychmiast odsunął się trochę i chmurny patrzył przed siebie, odwróciwszy twarz od pań Mniewskiej i Poreckiej.

Po obiedzie usiadły panie w salonie na zwykłym swym miejscu, natomiast trochę zaniepokojona pani Łotuska nie zajęła ustronnej kątka, lecz wraz z panem Szarockim przechadzała się po salonie, pilnie zważając na siedzące panie. Zbyt dobrze знаła to towarzystwo, ażeby nie podejrzewała, iż dotarły tam pewne wiadomości o niej, co ją niepokoiło. Ten Szarocki jest taki nieostrożny, posyła przez pokojówkę listy i kwiaty; kilka razy wyszedł od niej późną godziną, mogli go zobaczyć, podpatrzeć... i z pewnym żalem spojrzała na niego, że naraził ją na plotki. Wahała się, co lepsze, czy przyznać się, że on się jej narzuca, czy też wyprzeć się wszystkiego?

Tymczasem pani Mniewska, czując ważność swej osoby, usiadła w środku kanapki i po krótkiej krytyce niestosownie strojnej sukni pani Jerzyckiej, na co się wszystkie zgodziły, powiedziała z figlarnym uśmiechem:

— A jednak prawdą jest, że ściany mają uszy!

— I co posłyszaly? — spytała ciekawie, ale z godnością, pani Porecka.

— I kłoby się spodziewał, — mówiła pani Mniewska ze sztucznym spokojem, — że tu rozwijają się najprawdłowsze romanse... zachwyty poetyckie!... intrygi z pokojówkami!... tajne schadzki... słodkie sam na sam!... i t. d. i t. d.

Starsze panie, jakkolwiek paliła je ciekawość, miały miny poważne, prawie zgorszone, że coś podobnego dzieje się pod ich boki; natomiast panny poróżniewały z wielkiego zajęcia tak niezwykłą sprawą.

— Zdaje mi się, — powiedziała z godnością pani Porecka, — że pani chciała mówić o flirtach, — spojrzała wymownie w stronę Madzi i Ryty, — bo romans ma w sobie coś pospolitego, coś niedającego się pogodzić z dobrem wychowaniem i urodzeniem.

Pani Mniewska uczuła się dotknięta tą uwagą i powiedziała z lekką ironią:

— Nie rozumiem, dlaczego tak niewinne słówko, jak romans, ma być niewłaściwe, są przecież arcydzieła klasyczne z napisem „un roman“... ponieważ jednak moje określenie nie znalazło łaski, możemy nie mówić o tem.

Pani Porecka spostrzegła kwaśne i zawiedzione miny słuchaczek i poświęciła swą ambicję, mówiąc:

— Bardzo panią przepraszam, lecz miałam na myśli Balzaca „Kobietę trzydziestoletnią“, a taki romans nie bardzo się nadaje do opowiadania, sama pani przyzna.

— No, zapewne...

— Cóż się tedy stało? — spytała pani Łacka zniecierpliwionym głosem.

— Leżałam jeszcze w łóżku, — zaczęła pani Mniewska, — gdy przyszła moja pokojówka i powiada mi, że Ksawerka, numerowa z drugiego piętra, będzie wydalona.

— Za co? — spytała pani Porecka.

— To samo pytanie ja jej zadałam, — zaśmiała się pani Mniewska, — co tam ona zawiniła? Zarzucono jej, że podpatrywała i podsłuchiwała, ona zaś mszcząc się za wydalenie...

W tej chwili przystąpił pan Jedliński do siedzących. Pani Mniewska nagle urwała, on jednak coś zasłyszal, bo rzekł z uśmiechem:

— Pani mówi o Ksawerki... Znam dobrze tę historię, ale chętnie posłucham nowej odmiany starych dziejów.

Pani Mniewska zawahała się, ale zachęcona przez damy, mówiła:

— Pokojówka opowiadała, że po dwa, po trzy razy dziennie listy nosiła... bardzo często kwiaty na dzień dobry...

— No i odpowiedzi, — dodał pan Jedliński.

— Mówiła też o wizytach... ale to już jej wymyśli.

— A tego, że klęczał, jęczał, błagał, — rzekł ze śmiechem pan Jedliński, — tego nie słyszała pani?

— Wcale nie! I nie chcę, — dodała zagniewana pani Mniewska.

— To źle, ja wiem dokładniej...

Podeszła pani Łotuska i bardzo uprzejmie, z uśmiechem słodkim, mówiła:

— Tak dobrze bawicie się państwo, że pozazdrościłam i przyszłam.

— Bardzo prosimy... może pani usiądzie, —

posunęła się pani Mniewska, — mówiliśmy o wydaleniu Ksawerki.

— A tak, słyszałam.

— Podobno ona pani usługiwała?

— Tak jest.

— I była pani z niej zadowolona?

— Dosyć... tylko była zbyt narzucająca się z usługą i ciekawa. Nie mogłam listów zostawić.

— One wszystkie takie, — rzekła z powagą pani Porecka, — to są płatne wrogi w domu.

— Że też pani nie poskarżyła się w biurze zakładu, — odezwała się pani Mniewska, — taka służąca odczyta, nie zrozumie i narobi plotek.

— Pani ma słuszość, już mi doniesiono, że rozgaduje o jakichś listach, kwiatkach...

— Czy prawdę mówiła?

— Istotnie, raz czy dwa razy pan Szarocki przysłał mi swe poezje.

— Czy ładne? — spytała Ryta.

— Jak niektóre, — a choć rozproszyć podejrzenia, dodała: — onegdaj wieczorem deklamowałam mi jeden wiersz... wydał mi się bardzo niezły.

— Przynajmniej nie nudziła się pani, mając swego nadwornego poetę, — zaśmiała się pani Mniewska, — a my byliśmy pozbawione tej przyjemności.

— O, pan Szarocki wcale nie jest moim poetą, — zarumieniła się, — pisze dla wszystkich, jak każdy poeta.

— Dlaczegoż nam nie czyta? — spytała Madzia.

— Tego nie wiem.

— Ach, gdyby on nam zadeklamował! — zrobiła Madzia minkę błagającą, — niech pani poprosi, on to zrobi!

— Ależ nie wiem, on tak nie lubi publicznych występów, — mówiła niezdecydowana.

— Cóż za publiczny występ? — zaśmiała się pani Mniewska, — on należy do naszego kółka, — patrzyła na pana Szarockiego, który znudzony wyglądał przez pobliskie okno, — zresztą sama go poproszę, — wstała z kanapki i zawołała: — panie Szarocki! — a gdy się zbliżył, mówiła z przyjemnym uśmiechem: — pani Łotuska i my prosimy o ten wiersz, który pan deklamował wieczorem... w pokoju pani.

— Jeśli pani Łotuska każe, — powiedział niezręcznie, jak każdy zakochany, — będę posłuszny, jakkolwiek z pewnem wzdraganiem, bo nie umiem deklamować.

— Niechże pani każe, — zaśmiała się Madzia, — taka jestem ciekawa.

— Nie mam prawa rozkazywać, — zarumieniła się, — mogę tylko prosić.

— Słyszysz pan! — zawołała wesoło pani Mniewska, — czekamy!

— Wiersz nie mój, lecz jednego z Koryfeuszów nowej szkoły... oddaje jednak mój nastrój ducha.

— Prosimy!

Szarocki odrzucił ręką bujne włosy, odchrząknął i zaczął:

„Rozsmęciła się we mnie błękitna żaloba
I tyś nieszczęsna i ja — i my oba!
Oboje zawiślim na przetwardej grani
I wpadniem razem do łzawej oichlani,
I jako gwiazdy kochają się w niebie,
Tak pragnę ciebie!”